

Nalin Lusena był pełną energii, przyjazną postacią. Jego uśmiech na tle czarnej jak węgiel skóry wyglądał jak radosny półksiężyc na niebie. Przyjaciele nazywali go w związku z tym „kaal”, czyli „czarny”. Jednym z marzeń Nalina było zagranie na Broadwayu, gdyż uwielbiał musicale. Sam już stawiał w nich pierwsze kroki na Sri Lance, choć odnosił też sukcesy w zwykłym teatrze. Gdy pomógł mi odnaleźć dom w labiryncie ogrodu botanicznego zwanego Sri Lancą, przedstawił mi wręczenie nagród za najlepszy musical sprzed dwóch, czy trzech lat.

https://www.youtube.com/watch?v=P0_k73Jey-g&t=1200s

Czego tam nie było! Nad talerzami ryżu i curry, żując rybie płetwy i głowy, mogliśmy oglądać musical oparty na Shreku, gdzie istotnie pojawiła się kpina z musicalu. Owa kpina stała się materiałem do nowego musicalu. Z zaciekawieniem oglądałem aktora, który musiał śpiewać i tańczyć poruszając się na kolanach, jako, że w myśl zawartego w piosence żartu miał być nadnaturalnie niski. Później było coś z Abby, oraz musical pokazujący angielskiego nastolatka walczącego z kordonem policjantów. Jego taniec wpasowywał się nieźle w jęk rozbrzmiewający w rockowym podkładzie. Nie będąc wielkim fanem musicali, musiałem przyznać, iż stanowią one jednak całkiem spore wyzwanie dla sztuki aktorskiej. Aby tańczyć i śpiewać na kolanach z wyrazem dumy i radości na twarzy nie można grać po łebkach – to fakt. Po jakimś czasie zaczęto wręczać nagrody. Amerykańscy twórcy recytowali ze łzami na twarzy ckliwo – humorystyczne teksty, przygotowane zapewne przez wyspecjalizowane zespoły usługowo – doradcze jakieś kilka miesięcy wcześniej. Trzeba było się odnieść do rodziny (nawet, jeśli mamusia zmarła była 60 lat temu), do miejsca urodzenia (jeśli było w Stanach, inaczej pominąć), do prostych początków, oraz do kompletnego, nieoczekiwanego zaskoczenia nagrodą (kolejność przemów ustawiana była zapewne na miesiąc wcześniej). „Niezbyt lubię kulturę amerykańską” – stwierdziłem

mimowolnie, gdyż czasy wielkiej amerykańskiej prozy lat sześćdziesiątych i idącego za nią filmu mamy już dawno za sobą. „Nikt tu jej nie lubi!” – stwierdził gniewnie Tushita, który właśnie wszedł ocierając Che Guevarą deszcz z czoła.

Następnego dnia Tushita wziął mnie do autobusu i pojechaliśmy do dzielnicy Pettah kupić mapę Colombo. Mój brak orientacji w tropikalnym terenie musiał zostać naprawiony... W końcu Che tyle czasu spędził na równie trudnych terenach... Pettah znajdowało się w pobliżu najstarszej części Colombo, czyli – oczywiście – kolonialnego fortu. Żyli tam w dużej ilości Tamilowie, dzięki czemu wygląd ulic nie odbiegał zbyt od tego, co można było spotkać w Chennai. Nie brakowało też oczywiście świątyń, głównie Sziwy i Parwati, oraz ich syna, boga wojny, Skandy alias Kartikeyi. „Musisz się trochę oswoić z Colombo, zanim będziesz mógł chodzić tutaj sam” – ostrzegał mnie mój przyjaciel filmowiec, ja zaś cieszyłem się, iż wreszcie widzę coś zwyczajnego, w czym łatwo odnaleźć drogę i zorientować się co jest czym. Również pismo tamilskie wydawało się mimo wszystko bardziej czytelne od syngaleskiego. Obydwa startowały od sanskryckiego dewanagari, lecz litery syngaleskie zostały zakomponowane w formę wysoce estetycznych, okrągłych cebulek, w czym zaczęły przypominać inskrypcje prekolumbijskie w Ameryce Południowej. Zdecydowanie wolałem nie rozumieć prostszego alfabetu, niż trudniejszego, gdyż w tym pierwszym wypadku zawsze istniał cień nadziei, iż znaczenie liter podpowie mi jakiś szczęśliwy traf (w Chennai raz się zdarzyło!). Książki lankijskie były trochę droższe niż indyjskie, oraz wydane na lepszym papierze. Procent literatury anglojęzycznej w stosunku do pisanej po syngalesku był znacznie niższy niż w Indiach wobec ich rodzimych języków. Co nie dziwi, gdyż Sri Lanka jest tylko dwujęzyczna, jeśli nie liczyć tzw. Burgherów, czyli mieszkańców pochodzenia głównie holenderskiego, pozostałych po środkowym okresie kolonialnym. Burgherzy mówią obecnie po angielsku, nie znają już od dawna holenderskiego. Mają spory wkład w kulturę wyspy, lecz nikt z moich przyjaciół nie znał żadnego Burghera, żaden nie

studiował ani nie wykładał na ich uniwersytetach. „Teraz już możesz spokojnie wrócić do domu sam” – stwierdził Tushita, otwierając mój nowy nabytek. Spojrzeliśmy, i jeszcze tym razem wróciliśmy razem. Ulice Colombo przypominają obraz Pollocka. Zupełnie przypadkowe, kręte linie płaczą się ze sobą bez ładu i składu, jak wyrzucone na jezdnię spaghetti, które przejechało kilkanaście ciężarówek. Miasto zostało pobudowane na mokradłach i dawne brody stały się ulicami. Bagna nadal istnieją, o czym świadczą ciemne chmury komarów odwiedzające wszystkich nocą, oraz jeszcze większe hordy much pojawiające się w dzień. W między czasie otrzymałem sms od Rajnisha – „Jadłeś już lunch? Nie powinieneś jeść za dużo ryżu z dziwnymi dodatkami. Martwimy się tu o ciebie...”.



Opisałem już Nalina, czas zatem na Tushitę. Miał fryzurę a la muszkieter, z bródką i długimi falującymi włosami. Jego bardzo żywa i ekspresyjna twarz zastygała niekiedy w zadumie. Cały czas miał w głowie sto tysięcy projektów, które odczuwał niemal fizycznie. Często bolała go z tego powodu głowa. Gdy mówił, mówił bardzo ciekawie, lecz nie do końca lubił oddawać się rozmowie, gdyż wtedy jego myśli wędrowały we wszystkich kierunkach i często zapominał o najbardziej aktualnych problemach intelektualnych. Był na tyle ruchliwy, że zawsze pojawiał się nagle. Ciężko było dostrzec moment, w którym nadchodził. Senne smsy moich przyjaciół z Ganga Nivas wydawały się bardzo marsjańskie przy lankijskiej, nadekspresyjnej rzeczywistości. A jednocześnie zwykli Lankijczycy zdawali się być milczący jak kamienie, zaś ich ruchy były wolne i ciche.

Wieczorami na Lance trudno zasnąć. Robi się jeszcze bardziej parno niż w dzień. Wszystkie ubrania stają się mokre. Wtedy moi przyjaciele lubią namiętnie korzystać ze Skype'a, lub z Facebooka. Zdarza im się wyjeżdżać za granicę, ostatnio na przykład Kowshalya była ze swoją sztuką na międzynarodowym festiwalu teatralnym w Nepalu. W przypadku podróży na Zachód mają jednakże spore problemy, nawet jeśli ich działania artystyczne mają być wyróżnione. Zarówno strona Europejska i Amerykańska, jak i rząd Sri Lanki mnożą przed nimi wiele problemów. Dlatego na przykład Tushita nie mógł pojechać do Wenecji, choć jego film brał udział w konkursie. Rząd Sri Lanki jest nieufny w stosunku do swoich obywateli. Być może za Rawany było lepiej?

Następnego dnia pojechaliśmy z Nalinem na koncert największego lankijskiego sitarzysty, Pradeepa Ratnayake. Wcześniej sprawdzałem jego dokonania na YouTube i byłem pełen wątpliwości, zwłaszcza, że bilety kosztowały dwukrotnie więcej niż w Chennai. Na YouTube obecne były folkowo – popowe adaptacje znanych lankijskich melodii na sitar, filmowe smyczki i zwykłą barową perkusję. Pocieszałem się jednakże tym, iż muszę się zorientować jak to na tej Sri Lance jest z

tą muzyką, no też tym, że nie byłem w Chennai, i nawet średnio udany koncert stanowił w tym momencie rzadką atrakcję. Koncert okazał się bardzo udany. Okazało się, iż muzykę klasyczną Pradeep gra pięknym dźwiękiem i z ogromną wyobraźnią. Zdarzały mu się też elementy zupełnie nieoczekiwane, ale ciekawie estetycznie. Artysta, zainspirowany najwyraźniej późnymi nagraniami wielkiego Raviego Shankara, stawiał na głęboką i pozbawioną założonych granic improwizację. Towarzyszył mu znakomity amerykański tablista indyjskiego pochodzenia. Koncert był długi, lecz po drugiej radze musieliśmy wyjść, aby zdążyć na ostatni autobus. Audytorium, w którym odbywało się wydarzenie, nazywało się „Lionel Wendt Theatre and Art Galery”. Rzeczywiście, do sali szło się przez ciekawie zakomponowane korytarze galerii malarstwa. Sama sala sprzyjała przyjemne wrażenie, choć jak zwykle przechwalano się w niej sprawnie działającą klimatyzacją. Moim przyjacielem już nie raz grali na deskach tego teatru, w związku z czym Tushita nalegał, abym podczas koncertu swobodnie palił papierosy, gdyż będę w ich domu, teatrze. Nie dałem się skusić... Aby wrócić na przystanek przy Town Hall trzeba było znów przejść przez Ogrody Cynamonowe. Patrząc na te wszystkie mury, stráže i fortyfikacje nie czułem się jak w demokratycznym państwie. Oczywiście w Indiach też domy ministrów były strzeżone, lecz nie aż tak. W ogóle było je widać znad murów... Tym niemniej do niedawna Sri Lanka była rozdarta wojną domową, zatem trudno się do końca dziwić tym środkiem bezpieczeństwa.

Nalin nie był jakoś szczególnie zachwycony koncertem. Znacznie bardziej gustował w indyjskiej muzyce filmowej, albo Zachodniej. Znalazłem w jego zbiorach nawet wspaniałe nagranie sonat Brahmsa z Roztropowiczem... Tym niemniej spieszyliśmy się głównie z uwagi na to, iż z samego rana jechaliśmy w lankijskie góry, do miejscowości Hatton, gdzie rozpościerają się sławne plantacje cejlońskiej herbaty. Są one obsługiwane przez robotników sprowadzonych z Południowych Indii przez Brytyjczyków. Początkowo, od 1860, przywożono drawidyjską

ludność tylko na prace sezonowe, po czym odsyłano ją do domu. Gdy rynek kawy przeżywał kryzys w ostatnich dekadach XIX wieku, szkocki przedsiębiorca zaryzykował uprawę herbaty i gdy to wypaliło, poszli w jego ślad inni. Tym razem tania siła robocza musiała już pozostać na miejscu pracy, gdyż listki herbaty zbiera się ciągle, wybierając tylko niektóre z nich. Tymczasem rdzenni Lankijczycy, którzy zagustowali już w kawie, zostali w dużej mierze pozbawieni coraz bardziej lubianej używki. Większość sprowadzonych pracowników stanowili Tamilowie, więc po stu latach również przedstawiciele innych drawidyjskich grup językowych przeszli na ten język. Zbieracze herbaty, a raczej zbieraczki, gdyż praca wymaga delikatnych kobiecych dłoni, stanowią najniższą warstwę społeczeństwa Lanki. Nie do końca utożsamiają się z nimi mieszkający na północy wyspy rdzenni Tamilowie. Już w 1948, zaraz po odzyskaniu niepodległości, rząd Sri Lanki przymusowo odesłał sporą ich grupę do Indii, reszcie zaś długo nie chciano przyznać obywatelstwa. Dziś tylko bardzo nieliczni posiadają paszport. Nalin zaangażował się w projekt mający na celu pomoc w rozwoju dzieci Tamilów z plantacji. Podobnie bowiem jak Hindusi z niskich kast, często godzą się oni z trudnym losem i z dziada pradziada poprzestają na niskopłatnej, ciężkiej i niewdzięcznej pracy, nie mając żadnych perspektyw na inne drogi przez życie. Mój przyjaciel zaproponował więc dzieciakom warsztaty teatralne. Całkiem niezły pomysł na obudzenie w młodych ludziach inicjatywy i siły charakteru.

Nadjechał autobus. Na szczęście miał przystanek niedaleko naszego domu w Gothatuwa. Podróż miała trwać 4 godziny, zatem dobrze, że znalazły się miejsca siedzące. Do Hatton dzieliło nas jakieś 180 km, oznaczało to zatem, iż mamy iście ekspresowy, jak na Sri Lankę, środek transportu. Już Colombo wyglądało w moich oczach jak zaczarowany ogród, gdy więc wjechaliśmy w bardziej dzikie tereny, zupełnie oniemiałem. Miałem przed oczami niezwykle bogatą scenerię lasów deszczowych, które są domem niezliczonej ilości gatunków flory i fauny. Nie były to wcale jakieś ich dzikie partie. Sri Lanka

posiada 20 milionów mieszkańców, co czyni ją gęsto zasiedlonym obszarem Ziemi. Zatem przy głównych drogach prawie zawsze ktoś mieszka. Mimo to domy są zawsze otoczone wybujałą przyrodą. Miejscowi buddyści szanują przyrodę, ale też tworzenie ponurych ogrodów – trawników w stylu zachodnich dorobkiewiczów byłoby w pobliżu równika czystą utopią. Colombo i Hatton leżą mniej więcej na 7 stopniu wysokości północnej. Droga którą jechaliśmy, choć pełniła ważną funkcję w sieci komunikacyjnej wyspy, nie była szeroka. Autobus musiał niekiedy zatrzymywać się, aby przepuścić pojazd z naprzeciwka, a nie byliśmy jeszcze w górach! Nalin stwierdził, iż jako, że wyruszyliśmy ko. 7 rano, warto się zdrzemnąć. Nie było to jednak możliwe z dwóch przyczyn. Pierwsza była natury estetycznej – otoczenie dostarczało zbyt wielu wrażeń. Istota owych emocji była po części bardzo starożytna. W końcu nasi małpi przodkowie rozwijali się w lasach deszczowych Afryki. To dzięki ogromnej ilości owoców, jakie rosły w naszej dawnej kolebce, w ogóle widzimy kolory, co wcale nie jest częstą umiejętnością u zwierząt. Teraz, po raz pierwszy w życiu otaczała mnie przyroda w jakiej moi ludzcy i nieludzcy prapradziadowie przemieszkiwali przez miliony lat. Jakaś archaiczna częśćka mojej wyobraźni od zawsze potrzebowała tych widoków i cieszyła się teraz. Drugim powodem uniemożliwiającym drzemkę w autobusie był jego rozmiar. Ławki miał jak w przedszkolu.

W połowie drogi mieliśmy kwadrans postoju. Zamówiłem sobie specyficzne ciastka złożone z plecionki ryżowych strun owijającej masę kokosową. Były ciekawe w smaku i całkiem możliwe, iż stałyby się dla mnie nieocenionym przysmakiem, gdyby zawierały większą ilość cukru. Druga część naszej wyprawy wiodła w góry. Zajmują one południowo – środkową część wyspy i są naturalnym przedłużeniem indyjskich Gatów. Najwyższy szczyt Sri Lanki, wznosząca się na wysokość 2524 metrów góra Pidurutalagala, miała ocieniać miejsce naszego pobytu ze średniej odległości około kilkunastu kilometrów. Po kilkudziesięciu minutach jazdy las deszczowy nagle się urwał, ustępując miejsca podobnym nieco do winnic plantacjom.

Znaleźliśmy się w krainie herbaty. Zupełnie inaczej, niż u nas w kraju, tutaj wielkie plantacje zaczynały się dopiero w wyższych partiach łądu, część pogórzy została zaś nietknięta przez rolnictwo. Oczywiście zasmuciłem się nagłym zniknięciem lasu równikowego, którego gigantyczne połacie zostały wycięte pod herbatę. Z drugiej jednakże strony plantacje herbaciane też wyglądały niezwykle malowniczo. Nad wieloma z nich nadal rosło sporo drzew. Niektóre z nich wręcz zaskakiwały swoim gigantyzmem. Morze zielonych liści herbaty otwierało wielkie, górskie perspektywy. W powietrzu unosił się egzotyczny zapach nieprzetworzonych jeszcze listków, które tak uwielbiam. Plantacje dzieliły się na „estates”, wciąż opisane tylko i wyłącznie po angielsku nazwami związanymi z kulturą europejską. „Estates” były często wielkości sporych gmin i to one organizowały życie i zabudowę regionu. Co jakiś czas można było zobaczyć charakterystyczny, długi budynek przetwórci herbacianej. Między liśćmi kręciły się tamilskie kobiety w zabrudzonych barwnych sari i z wielkimi torbami na plecach powoli zrywały starannie dobrane listki. Plantacje były tak ogromne, iż choć ciągle pracowały, trzeba było się długo rozglądać, aby kogokolwiek zobaczyć.

W pewnym momencie minęliśmy jedną z najbardziej deszczowych miejscowości na świecie, i najbardziej wilgotną na Lance. Ludzie w niej nie rozstawali się z parasolami. Nad nami, na niebie, cały czas wisiały malownicze chmury. Już wcześniej zwróciłem uwagę na sztuczne potoki i wodospady odprowadzające wodę z plantacji herbaty. Gdzieś tam, pomiędzy zielonymi liśćmi mającymi stać się popularnym na całym świecie towarem eksportowym, widniały skały, które dawniej wznosiły się z gęstego, nieprzejrzystego dna dżungli. Dało się też zauważyć wtórnie wzmocnione koryta pierwotnych, leśnych potoków, różniących się od tych sztucznych swoją nieregularną linią. Plantacje nie były zbyt geometryczne, jako, że i tak zbiory wymagały starannej, ręcznej selekcji. Choć herbaty było dużo, czasem w jej nieregularnych rzędach pojawiała się przerwa na jakiś dom, lub inną roślinność.

W końcu, po niekończących się górskich widokach wysiedliśmy w Hatton. Miejscowość była niezwykle rozległa z uwagi na charakter plantacji, nie miała też jakiegoś wyróżnionego centrum, lecz raczej co jakiś czas zdarzały się ulice obudowane zwartą zabudową, w całości indyjskim stylu. Owe nagłe pasy śródmieścia przywodziły mi na myśl nasze Zagłębie Górnosląskie, z tym że w Hatton chodziło o herbatę, nie zaś o węgiel. Poza tym istniały liczne podobieństwa. Miasto zamieszkiwali w większości robotnicy, ludność innego typu stanowiła margines. Swoją drogą miałem tu do czynienia z kolejnym wpływem Indii na Sri Lankę. Swoje herbaciane doświadczenia rozwijali Brytyjczycy na plantacjach Assamu, Dardżylingu i Madrasu. Cejlon był później. Dlatego transportowano tanią i doświadczoną siłę roboczą z Indii na wyspę. Wkrótce, podobnie jak w Ramajanie, herbaciana Lanka okazała się prawdziwą kopalnią złota, która prześcignęła indyjskie plantacje.



Musieliśmy zmienić autobus na lokalny. Okazało się, iż podjechał pełnowymiarowy Tata. Jednocześnie, ku mojemu zdumieniu, bilety były dwukrotnie droższe niż w podmiejskich autobusach Colombo. Dowiedziałem się, iż niejeden herbaciany robotnik zarabia ledwie 100 rupii dziennie (ok. 3 zł). Tymczasem aby gdziekolwiek dojechać autobusem trzeba było zapłacić w jedną stronę co najmniej 25 rupii... Wielu ludzi było zatem przykutych na stałe do miejsca swojej pracy, nie mogli się poruszać nawet po Hatton.

Hotel do którego dojechaliśmy okazał się przytulny i całkiem elegancki. Jako, że też miałem wziąć aktywny udział w warsztatach, otrzymałem łóżko i jedzenie. Zamieszkałem w trzyosobowym pokoju z Nalinem i jego przyjacielem Akilą

Sapumał, również związanym z Academic Players i Uniwersytetem Kelaniya. Na razie jednakże był on jeszcze w drodze. My tymczasem wsiedliśmy do rykszy wynajętej na potrzeby stowarzyszenia i ruszyliśmy do jego siedziby. Po drodze jechaliśmy brzegiem górskiego jeziora utworzonego przez jednego z dawnych królów Lanki. Sztuczny zbiornik był gigantyczny, zaś majaczące nad nim ogromne szczyty nurzały się w wiecznych chmurach. Jechaliśmy niemal godzinę, wreszcie wjechaliśmy na skromny plac, przy którym mieścił się piętrowy gmach. Na górze była sala stowarzyszenia. Stowarzyszenie nazywało się Ambagamuwa United People's Organisations. Należało do ogólnoswiatowego ruchu United People's. Właśnie odbywało się w nim ważne spotkanie lokalnych, tamilek animatorów. Pogadałem chwilę z jednym z szefów, który wywarł na mnie wrażenie podobnego do Tushity rewolucjonisty, lecz był o kilkanaście co najmniej lat starszy. Po kilku przemowach i naradach dotyczących różnych projektów, Nalin przedstawił wszystkim ideę swoich warsztatów teatralnych. Następnie poproszono mnie o parę słów, które wygłosiłem. Mówiłem na temat muzyki, miłości do herbaty i smutku, jaki odczuwam, gdy widzę jak niewiele mają osoby będące głównym źródłem tego smakołyku. Po przemówieniu dowiedziałem się, iż mam nawet szansę na wynagrodzenie za mój skromny projekt. Jedynym problemem była oczywiście kwestia wiz i kont. Trochę się zżymałem z tą myślą, gdyż nie miałem tym razem wiele dokonać, a przecież miałem hotel z pyszną zapewne kuchnią za darmo. Czułem też, iż warsztaty z tamilek dziećmi same w sobie będą przyjemnością. Tym niemniej Nalin tłumaczył mi spokojnie, iż taki jest statut, bowiem darmowe działania przynoszą dobre rezultaty tylko na krótką metę. Później, nawet najwięksi idealisci, muszą brać za swój priorytet działania za które im się płaci.

<https://www.youtube.com/watch?v=uax98-HVCp4&t=817s>

Pograżeni w idyllicznych pejzażach, przez jakiś czas czekaliśmy na zakończenie narad. Tematy były poważne. W pomieszczeniu było wiele maszyn do szycia mających umożliwić większą samodzielność chętnym robotnikom. Wszystkie były pięknie dekorowane, tak jak lubią Hindusi. Ucieszyło mnie, iż zadbano o taki szczegół. Drugą ważką kwestią była kwota przyznana na instrumenty dla dzieci. Muzyka okazała się potrzebna nie tylko na warsztatach muzycznych, lecz również na teatralnych. Nasze oczekiwanie umiłało nam nieziemskie piękno okolicy. Miło było po prostu stać na drewnianym mostku, który pokonywał potok wijący się między górami nie mniej monumentalnymi niż Tatry Zachodnie. Z tym, że zamiast kosodrzewiny rosła tu herbata... W końcu jednak ruszyliśmy w drogę autobusem, gdyż rykszarz musiał czekać na szefów. Przepadł nam lunch, więc Nalin koniecznie chciał mi postawić jedzenie. Wcześniej uparł się, żeby zapłacić za autobus, więc z trudem starałem się wyrównać wspólne wydatki. Kilka dni później, zupełnie przypadkiem, dowiedziałem się, iż w ostatnich dniach Nalin boryka się z poważnymi problemami finansowymi. Mimo to twardo uważał iż „gość w dom, Bóg w dom” i tak jak w dawnych mitach o Hermesie i Zeusie podejmowanych przez zacnych ludzi, zadłużał się aby uszanować prawo gościnności. Na szczęście byłem uparty i nie było aż tak źle, gdyż jakby nie patrzeć, Zeusem nie jestem...

Lunch składał się z appa, tudzież hopas, owych parasoli, ani dobrych ani złych. Wyglądało na to, iż kuchnia lankijska ceni sobie smak ostry, zaś w innych obszarach skali smakowej nie stara się być wyrazista. Dinner w hotelu mogliśmy sobie zamawiać, lecz tym razem działała funkcja „random”, czyli – oczywiście – ryż i curry. Ryż, sosy, dał, przystawka z nieokreślonych warzyw, jak też i kurczak – wszystko było na najwyższym poziomie. Dziwne, lecz wciągające. Jedząc danie przygotowane przez świetnego kucharza zorientowałem się, iż również Kowshalya ma talent kulinarny.

W nocy przybył Akila. Miał chyba wiele rzeczy na głowie,

gdyż w każdym wolnym momencie czytał zadane mu dramaty. W pewnym momencie zwierzył mi się, iż bardzo chciałby ze mną pogadać, ale stworzyliśmy razem z Nalinem specyficzną wersję angielskiego, której on nie rozumie.

Rano dostaliśmy świeży chleb i różne przekąski do niego, a także papaję i różne inne owoce. Weranda hotelu wydawała mi się jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Słodko było wziąć kubek herbaty, papierosa, i zanurzyć się w świeżej zieleni górskich masywów, w malowniczym niebie i w tajemniczych dźwiękach egzotycznym zwierząt. A nad ranem (było – o zgrozo – koło 6.30), ptaki na Lance budzą się ze snu, tak jak wszędzie, tyle że znają bezkresną ilość ptasich dialektów. Tu wiersz „Ptasie radio” urósłby do rozmiaru co najmniej homerowego.

Skończyliśmy jeść i nasz tamilski rykszarz Sashin ruszył z nami w drogę. Jechaliśmy w najbardziej dzikie i niedostępne obszary regionu. Przyroda stawała się wszechogarniająca, zaś góry potężniały. Robiłem zdjęcia, zaś Sashin starał mi się pomóc, unikając dziur i niemal zatrzymując rykszę. Puścił filmową muzykę, głównie adaptacje tamilskie kompozycji A.R. Rahmana (lub oryginalne jego kompozycje tamilskie, gdyż A.R. Rahman zmienił religię z hinduizmu na islam, był zaś tamilem, choć wstawiał się głównie w Mumbaju). Cudownie się patrzyło na jedno z najbardziej niezwykłych miejsc na ziemi przy dobrej, pełnej emocji muzyce. Nalin również czuł się w siódmym niebie, gdyż Rahman był jego kompozytorem no.1.

Aby dojechać do Mocha Estate trzeba było wjechać w wyższą od tej przy naszym hotelu kotlinę zasłaną jednym z największych królewskich jezior na wyspie. Gdzieś za mgłami śniła święta góra Sri Pada, lecz my wspinaliśmy się górską ścieżką, którą nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby wjechać. A jednak, udało się. Mały dom służący za skromny dom kultury tonął w kompletnie dzikim krajobrazie. Nie było tu żadnych dróg. Dom znajdował się na wysokiej hali, zaś poniżej znajdowało się kilkusetmetrowe urwisko otwierające widok na

gigantyczne górskie jezioro. Przy brzegach jeziora widać było skromne domki robotników, całą resztę stanowiły herbaciane plantacje, lub dzika przyroda, gdyż robiło się tu za wysoko na herbatę. Choć budynek chwalił się nawet salą komputerową, nie było w nim żadnych komputerów i już dawno wyłączono w nim prąd. Składało się na niego kilka pomieszczeń, w tym pozbawiona mebli salka dla dzieci. Tam na bosaka stała grupka nastolatków, głównie dziewczynek. Niektóre z nich miały barwne tradycyjne stroje, lecz podobnie jak ich mamy nic ponadto.

Wtedy Nalin i Akila ruszyli do akcji. Po raz pierwszy widziałem tyle radości i przekonania, co na twarzy Nalina. Dzieci wprost umierały z radości. Przypominało to scenę z „Wszystkie dzieci są nasze” Amira Khana...

(ciąg dalszy nastąpi)

[Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)